PRAWDA

Pismo tygodniowe. *Nie przyszedłem dawać pokoju, ale miecz. MAT. X, 34.*

Rok XXXIV Nr. 18. *Warszawa, 2 maja 1914.* Widok 3.

Ave, papa...

1.

Niemal codzień telegramy podają nam do wiadomości tęgie i ważkie nazwiska osób, które... którym... o których... nie da się nic innego powiedzieć, tylko to jedno, że siedzą w domu.

Ale jak siedzą? Siedzą wytrwale i spokojnie; siedzą majestycznie, wyniośle i obojętnie; siedzą wówczas, gdy ich opinja powszechna posądza o to, że pojechali do Rzymu, aby przed tron papieski zanieść skargę ludu polskiego, pędzonego precz od ołtarzy katolickich przez niemieckiego mnicha.

Obrażone uczucie Polaków, wierzących *in sanctam Ecclesiam Catolicam* domaga się jakowegoś zadośćuczynienia, i pyta przewodników polityki narodowej, co się w tej sprawie robi, by zadośćuczynienie osiągnąć.

Na pytania zaś, ciągłe ponawiane, otrzymuje co dni kilka odpowiedź:

— Książę Czartoryski do Rzymu nie pojedzie.

— Książę Radziwiłł w Rzymie nie był.

— Hrabia Łubieński do delegacji nie należał.

— Poseł Morawski nic o delegacji nie wie.

— Więc, nareszcie, raczcie jaśni panowie powiedzieć, kto w Rzymie był, kto w delegacji brał udział? — woła i dopomina się o odpowiedź opinja, już zniecierpliwiona.

I na to spada na głowy wiernych wiadomość krótka i sucha, jak trzaśnięcie drzwi zamkniętych przed nosem natręta:

— Delegacja magnatów polskich do papieża jest wymysłem nieprzyjaciół naszych, którzy probują za pomocą tej intrygi ściągnąć na kraj represje pruskie. Przestańcie raz o delegacji bredzić, jeśli chcecie krajowi się przysłużyć.

Jakto??? — parafja polska przeciera oczy z niedowierzaniem.

Więc to, co było zrazu przedstawiane jak odruch dobrej woli ludzi możnowładnych, to jest tylko... intrygą pruską? To święte oburzenie, którym magnaci polscy zapłonęli na widok krzywdy ludu polskiego, to była tylko rzucona na nich potwarz? To była tylko zatruta przeciwko nim strzała? Podstęp nieprzyjacielski i szpetne obmówisko, przed którym bronić się muszą i z którego muszą się, w obliczu świata obmywać, jak z błota?

Dusza katolika-polaka, dusza świadoma stanu rzeczy, zawyć musiałaby z bólu na widok takiego upokorzenia, takiej niedoli, takiego zewsząd opuszczonego sieroctwa swej chorągwi, zakrwawić musiałaby dłonie swe z rozpaczy, gdyby... umiała myśleć i rozumować, ale właśnie, po krótkim namyśle, z rzeczywistością taką byłaby zniewolona się pogodzić.

Bo istotnie, jakżeżby ci panowie o nazwiskach tak niepokalanie lojalnych mogli brać do serca i ważyć w dłoniach krzywdę ludu? Przecież ta krzywda padłaby rdzą na ich książęce mitry, padłaby wieść o niej plamą na ich dworskie uniformy: jakżeżby oni w stroju

tak sprofanowanym zjawić się mogli na obiad cesarski w Poznaniu, gdy otrzymają łaskawe zaproszenie?

I oto przyczyna, dla której teraz tak majestatycznie siedzą i tak wyniośle milczą! oh! nie siedzą, zda się, ale *uprawiają siedzenie*; milczą i siedzą tak ostentacyjnie, aby sam cesarz niemiecki widział, że siedzą i że są spokojni, że... nie myślą jechać do Rzymu, nie! skądże znowu?

Niegdyś, gdzieś tam, pod okiem innego cesarza, szli Polacy na skały morderczej Somo-Sierry — szczęśliwi!

— Cesarz patrzy! — to znaczyło przed stu laty: zwyciężyć lub zginąć. Dzisiaj — znaczy dla panów wielkopolskich: siedzieć i milczeć.

Zmieniła się tylko postać bohaterstwa; ale bohaterstwo pozostało: czyż tak, jaśni panowie?

Pytanie to mogłoby się stać kluczem, rozwierającym straszny i bolesny dramat w duszy wierzącego w katolicyzm Polaka, gdyby Polak-katolik nie był istotą, z której doszczętnie wytrawiono zdolności myślenia o sobie, zastanawiania się nad losem własnym i nad losem kraju.

2.

Już teraz rzeczą jest wiadomą, dlaczego arystokracja poznańska w pierwszej chwili tak skrzętnie się zajęła sprawą skandalu berlińskiego. Chodziło jej o skanalizowanie oburzenia na drogi niewinne i pokojowe. Rzekła do społeczeństwa rodaków:

— Zostawcie tę sprawę mnie. Ja ją wezmę do serca.

Opinja społeczna pojęła tę zapowiedź, jako powziętą przez ludzi wpływowych decyzję wystąpienia z energiczną interpelacją w Rzymie. Pojąwszy zaś ją w ten sposób, ucichła.

Arystokracja tymczasem zgarnęła z powierzchni życia burzliwą pianę gniewu, goryczy i rodzącego się buntu przeciw hakacie katolickiej, zgarnęła to wszystko dyplomatycznie i zręcznie, nie po to jednak, by rzecz brać do serca... chyba, że w sercu nosi śmietnik, do którego sprzęty niepotrzebne wrzuca, w takim razie, może, do serca swego właśnie skargę ową wrzuciła

3.

Obraz tedy ze stanowiska rzeczonych uświadomień otwiera się następujący:

Na górze społeczeństwa—odbywa się gra w ślepą babkę, między tjarą a koroną.

Na dole—bezradna masa szuka uśmierzenia bólu prześladowań w niewiedzy, w nieświadomości, w głuchocie, w rezygnacji, w posłuszeństwie.

Na górze — tradycyjni opiekuni ludu przed ludem spiskują; okradają go z najświętszych uczuć: z uczuć religijnego oburzenia, z dreszczów gniewu, z porywów ku sprawiedliwości, okradają go z podniet szlachetnej ambicji, by ten łup kradziony za judaszowe srebrniki cesarskiej łaski sprzedać na Berlińskim zamku.

A jednocześnie, na dole — by stępić ból, by złamać ostrze krzywdy, lud otępia swoją własną myśl i depce swoje własne serce.

4.

Pospólstwo parafjalne, a nawet ogół katolicki, może sobie wierzyć w obronę Watykanu. My—tej wiary na pociechę nie mamy.

Wiemy już, że nikt skargi polskiej do Rzymu nie poniesie. Ale gdyby nawet cała arystokracja polska przed stopniami Watykanu klękła, cóżby wskórała? Cóżby rzec mogła? Chyba tylko: *Ave, papa, morituri te salutant*...

Ktokolwiek zna odrobinę dzieje papiestwa, ten wiedzieć musi, że między nim a ludami Europy oddawna, bo już od w. XVII stanowczy nastąpił rozbrat; wywiązał się natomiast sojusz stały Stolicy Piotrowej z rządami mocarstw i z domami panujących. Kościół katolicki przywykł czerpać siłę i oparcie w opiece rządów, aby móc opierać się na ludach. *Cujus regio, ejus religio*: ta zasada przewodniczy polityce rzymskiej do dzisiaj. Kto staje przed papieżem ze skargą ludu, w imię praw ludu, ten z góry skazany bywa na przegraną, gdyż występuje przeciwko zasadzie rządzenia.

Gdyby więc panowie wielkopolscy mieli nawet odwagę swojej wiary, gdyby stali nawet na wysokości swej religji, to zabiegi ich nie odniosłyby skutku. Gdyby nawet byli odważni i szczerzy, to, mimo to, nie przestaliby być bezsilni. Oni, jak rzekliśmy, woleli bez-

siłę swoją ubrać w tchórzostwo i zamaskować oszustwem, woleli rozegrać przed narodem farsę komedjanctwa, niźli tragedję niemocy; wszelako, gdyby odrzucili precz maski komedjantów, twarze, jakieby wówczas pokazali światu, widokiem swym szerzyłyby raczej popłoch, niż otuchę.

5.

W rzeczywistości tedy taka sama istnieje niemoc i bezradność na górze, jak i na dole: śród arystokracji, jak śród ludu. I ci i tamci są równie mocno skrępowani. Różnica zachodzić może jedynie w środkach i sposobach ujarzmienia. Chłopa ujarzmia się poprostu laską policjanta; księcia ujarzmia się zaprosinami na obiad cesarski. Ponadto zaś od rządu pruskiego zarówno uzależnieni są i liczyć się z nim muszą zarówno pokrzywdzeni, jak ich rzekomi obrońcy. I chłop polski, i polski książę, i — co więcej — będący rzekomą dla nich obu ucieczką, papież: wszyscy czują na sobie ciężką dłoń niemieckiego monarchy i — niemieckiego mocarstwa.

Na gwałty pruskie, na przemoc niemieckiego żywiołu, mogłaby skutecznie odpowiedzieć jedynie, odpowiedzieć zbiorowo, zorganizowana siła polskiego żywiołu. Żywiołowi mógłby odpór godny dać jedynie żywioł.

Marny los jest tego, który szukać musi po świecie, komuby się na krzywdę doznaną użalił a poskarżył: nikt napewno słuchać go nie zechce. Ten go odtrąci, tamten znieważy, ów nogą kopnie. Taki właśnie los stał się udziałem ludu polskiego, który się skarży, iż go kopią, i który kopany bywa za to, że się skarży.

Czyż nigdy z tego błędnego koła sromoty nie wyjdzie? Czyż nigdy siły własnej nie pozna? Nie wyrobi w sobie godności, nie nabierze dumy? Czyż nie dowie się o tym, że ten tylko kłaniać się i prosić nie potrzebuje, kto umie w porę zagrozić?

W Berlinie mieszka 80 tys. Polaków. Nikt z nimi się nie liczy. Lada mnich, lada pachołek kościelny z kijem w ręku za nimi hasa, jak za trzodą. Dlaczego? Czy nie dlatego, że ku wielkiemu ołtarzowi niemieckiemu na kolanach się czołgają? Niech spróbują wyjść ze świątyni razem, nagle, z podniesioną głową! Kler wówczas za kraj szaty chwytać ich będzie i upraszać, by zostali...

6.

Psychika ludu, duch ludu polskiego zmężnieć musi. Dziś uczą go jego opiekuni, że przedewszystkim potrzebna jest chłopu giętkość w karku, by umiał układnie prosić, kornie zabiegać a łasić się i głupotą swą a nieuctwem mocniejszych od siebie rozbrajać. Opiekuni ludu chcą z chłopa wiekuistego uczynić żebraka. Tym opiekunom chłop musi na pierwszym planie wypowiedzieć posluszeństwo. I — wypowiada coraz głośniej. Nie w księstwie Poznańskim, gdzie lud omotany jest poprostu siecią klerykalną, ale tu, śród nas, w Królestwie. Tu, wbrew tysiącznym pętom, poprzez straszne zapory, prostuje się nowa psychika chłopska, wyrasta nowa dusza ludu. Dusza zaraniarska. Dusza na sobie samej oparta, praw i sił swoich świadoma, coraz świadomsza, i tą świadomością coraz potężniejsza.

Żywioł zaraniarski w chwili obecnej jedynym jest na ziemi polskiej żywiołem, któryby nie pękł nawet pod obuchem Prusaków; któryby ostać się miał siłę nie tylko przeciw brutalnej pięści żandarma, ale i przeciwko zapędom germanizacyjnym księży niemieckich.

Ale spójrzmy bliżej na obraz tej walki, w jakiej u nas w kraju zmaga się dusza zaraniarska.

Walczy przeciwko nim frazes patrjotyczny, i gnuśność społeczna, i potwarz niegodziwa, i haniebne wyzwiska, i nieuczciwe współzawodnictwo i denuncjacja fałszywa... To wszystko są oręże groźne; to wszystko są przeciwności ciężkie, wszelako możliwe do przełamania, możliwe do zniesienia. Ranią, kaleczą, zadają ból, lecz jadem nie zatruwają serca, nie przeżerają ogniem kości. Lecz co przekracza siły i odporność zaraniarzy, co przekraczać musi siły Polaka, co zdruzgotałoby każdego człowieka, to właśnie to, że śród różnych sposobów walki przeciwko nim społeczeństwo własne używa także środka, którym posłużył się oprawca pruski w kościele Dominikanów.

Oni jedni dość są światli, dość zmężniali duchowo, dość pewni siebie i dostatecznie zawzięci na swoim o swoje, by stawić opór siepa-

czom hakatyzmu, — i przeciwko nim właśnie społeczeństwo rodzime z hakatystycznych a raczej z katowskich bierze rąk narzędzie, by ich tu, w sercu ojczyzny, od polskich katolickich ołtarzy żenąć, z polskich kazalnic klątwy na ich głowy miotać, sakramentów wzbraniać, w godzinach uroczystych chrztu, ślubu albo śmierci znieważać, kalać, na pohańbienie podawać, słowo w słowo tak, jak tam nad Szprewą... Tylko, że to słowo tutaj polskim pociskiem głębiej, bezpośredniej w polskie wraża się serce i boli głębiej i straszniej...

O! zbrodnio! Zbrodnio i hańbo straszliwego braterstwa broni, podjętej i wymierzonej w pierś chłopa, w pierś polskiego ludu.

Świątobliwi ojcowie! Biskupi, prałaci, kanonicy i doktorowie św. teologji! W jakimż wy stanęliście szeregu bojowym i — przeciw komu?

7.

Tego przymierza hańbiącego lud wam nie zapomni, o świątobliwi ojcowie!

Mógł go nie dostrzec wcale, lecz dostrzegłszy, jakże wytraci je z pamięci? Można zapomnieć o urazie, o krzywdzie, o zaprzysiężonej zemście, lecz jakże zapomnieć o tym, co się widziało w ciężkim, jak zmora, śnie? Można zapomnieć sto twarzy ludzkich, widywanych w życiu. Ale twarzy upiora, raz jeden widzianego we śnie, nie zapomina się nigdy. Taką twarz upiora ma owo niepojęte, wynaturzone i straszne w oczach ludu braterstwo broni księdza polskiego z Prusakiem-dzieciobójcą [1]).

Oto, co pisze Teofil Kurczak w jednym z zeszytów *Zarania* (p. Nr. 17):

«Nasze *Polaki-katoliki* i im podobne *Narody* oburzają się na postępek Dominikanów pruskich, jakby na coś nadzwyczajnego; a przecie w politykowaniu kleru to rzecz zwykła, nie tylko pod Prusakiem, ale i tu u nas, w Królestwie. Dominikanin berliński staje na stopniach ołtarza i mówi wielkim głosem: «Wychodźcie wy, dzieci polskie, z kościoła, gdyż komunji dla was nie będzie.» A w parafji Trąbki na Kujawach, w samo Boże Narodzenie (dwa roki temu) staje proboszcz miejscowy na stopniach ołtarza i także wielkim głosem woła: Nie będę odprawiał nabożeństwa, aż wyprowadzicie z kościoła Antoniego Kujawę, zaraniarza!»

Jakaż różnica między tymi dwoma kapłanami? Jeden drogę do Boga zagradza odmiennej narodowości; drugi — surowszy i okrutniejszy — drogę zamyka odmiennemu nawet przekonaniu.

8.

A teraz — we wniosku ostatecznym — dwa pytania, pod adresem tych, którzy bądź protestują bądź wołają o protest przeciwko gwałtowi, spełnianemu w Berlinie:

1) Jaką doniosłość moralną mieć mogą protesty ludzi, którzy u siebie w domu postępowaniem swoim cierpią i uświęcają to, przeciwko czemu protestują zagranicą?

2) Jaką skuteczność materjalną mieć może akcja, obalająca podstawy społeczne tego, na czymby się wesprzeć mogła i powinna?

Czyż na te oba pytania zawsze mieć będziemy jedną tylko odpowiedź: *Ave, papa, morituri te salutant?...*

ORJON.

Echa Prawdy.

I. Wyrzucani z Kościoła. II. Solidarność w Meksyku. III. Monte Carlo w Galicji.

I. Wymowną ilustracją do wniosków zawartych w artykule wstępnym niniejszego zeszytu są wynurzenia T. Kurczaka (p. Nr. 17 *Zarania*).

— Ja sam na sobie — pisze Kurczak — doświadczyłem skutków prześladowania księżego. Roku zeszłego dnia 29 marca przybył mi do rodziny synek; maleńki, słabiutki, niemogący sobie radzić, ot, zwyczajnie jak dzieciak; trzeba go było otoczyć troskliwą opieką, żeby się to nie zaczmerało w barłogu.

Dn. 20 kwietnia jedziemy do kościoła, żeby dopełnić ceremonji chrztu, i zapisać do ksiąg ludności tego nowego obywatela. A że nie mam lepszego kolegi z pomiędzy dobrych katolików, więc proszę na kuma Karczewskiego «zaraniarza», a jakże. Gdy nas zobaczył ks. kan. Niemira, proboszcz miejscowy, woła nas do kancelarji parafjalnej i mówi: «zaraniarz» nie może być chrzestnym.

---

[1]) Znane jest okrucieństwo, z jakim pruski nauczyciel znęca się nad dziatwą polską. Wskutek ran zadanych przez nauczyciela zdarzają się niejednokrotnie wypadki śmierci.

A dzieci może mieć? pytam. — «Dzieci może», odpowiada ksiądz. — A ojcem może być? — pytam znów — bo przecie i natura powinna się przeciw niemu, jako zaraniarzowi, zbuntować i odmówić mu swojej siły.

— Głupio nie odpowiadać — mówi ze złością ksiądz.

— A kiedy my nie przyszliśmy się kłócić — mówię — ja tylko żądam ochrzczenia dziecka i spisania aktu.

— Poszukajcie sobie innego kuma — tłumaczy mi — bo ja z Karczewskim chrzcić nie będę.

— To niech ks. kanonik poszuka mi innego kuma — mówię.

— To ja mam szukać kuma do czyjego dziecka? — odrzekł.

— A przecież ja mam kuma — odpowiadam — a jeżeli księdzu potrzebny inny, to niechże go ksiądz sobie poszuka.

— Kiedy widzicie — rzecze łagodniej — ja nie mogę Karczewskiego dopuścić do aktu, bo mam nakaz od biskupa, że «zaraniarzy» rozgrzeszać nie można, ślubów także dawać i do aktu przyjmować, bo na was ciąży klątwa kościelna.

Po tym wypadku podałem skargę do konsystorza warszawskiego, opisując fakt i żądając, aby konsystorz nakazał ks. kan. Niemirze spisanie aktu, jak urzędnikowi cywilnemu, gdyż w przeciwnym razie zmuszony będę udać się na drogę sądową. Bo ksiądz, jako urzędnik stanu cywilnego, nie może odmówić spisania aktu.

Dnia 30-go sierpnia otrzymałem urzędowe wezwanie do parafjalnej kancelarji *w państwowym języku*, przysłane mi przez jakąś tercjarkę. Wzywa mnie owo pismo, żebym przyjechał z dzieckiem, bo w przeciwnym razie będę odpowiedzialny sądownie. Ho, ho — myślę sobie — teraz mi grożą sądem za to, czego sami nie zrobili i zaco im groziła kara...

Oczywiście, po otrzymaniu takiego srogiego wezwania, nie śpieszno mi było jechać, gdyż wiedziałem, że nie ja, a ks. Niemira podlega w tym wypadku odpowiedzialności sądowej, więc bać się nie miałem potrzeby, ale przejeżdżając na rowerze przez Łowicz, wstąpiłem do kancelarji. Wtedy ks. Niemira mówi.

— Przyjeżdżajcież z dzieckiem dla dopełnienia chrztu i spisania aktu, gdyż ja w ciągu ośmiu dni od otrzymanego zawiadomienia obowiązany byłem akt spisać, bo tego wymaga prawo...

— Ja to wiem i dlatego żądałem zaraz napisania aktu — odpowiedziałem.

Więceśmy przygodnego dnia pojechali z żoną — i już się ks. Niemira nie opierał przy wpisaniu nazwiska Karczewskiego do aktu; ale do tego trzeba się było powołać aż na prawo...

Tak musimy walczyć tu, w Królestwie, my «zaraniarze» w kościele katolickim, z tego kościoła urzędowymi przedstawicielami. A to jedynie dlatego, że nie chcemy już być p r o w a d z e n i, jak pokorne baranki na powrózku do bydłobójni, lecz chcemy być ludźmi, którzy mają swój sąd o rzeczach.

II. Meksykanie to prawie dzicy ludzie. Dzieje ich kraju złożone są niemal z samych okrucieństw, dokonywanych przez nich lub na nich.

Zdawałoby się, że jakiś czerwony obłęd zaciemnił wszystkie umysły i rozżarzył namiętności do temperatury wulkanu. A może żar ten rozdmuchiwany jest z zewnątrz?

Podejrzenie to samo się narzuca, gdy przypomnimy, że chroniczna rewolucja meksykańska wybuchła w okresie kończenia kanału panamskiego, a zarazem zaostrzonych stosunków między Stanami Zjednoczonemi a Japonją, że zamieniła się w całą nieprzerwaną serję rewolucji kolejnych, wyniszczających kraj niesłychanym upustem krwi, że wreszcie i w środkowej i południowej Ameryce we wszelkich dość częstych tam wojnach domowych strony wojujące stale posługują się bronią, fabrykowaną przez Yankes'ów. Jeśli ci dostarczą broni — rewolucja jest gotowa; jeśli jej nie dowiozą — partje ptzeciwne muszą wejść na drogę pokojową.

Meksykanom w ciągu ostatnich kilku lat brakło wszystkiego, brakło im nawet dachu nad głową; ale broni nie zabrakło im nigdy. Do jednego obozu dowoziła ją Japonja, do drugiego Stany Zjednoczone.

Zdawałoby się, że taki stan rzeczy, przedłużając się, dowodzi dość jasno, iż Meksyk sam sobą rządzić nie potrafi i potrzeba mu obcego pana; co najmniej, nie mogąc się same pogodzić, strony wojujące potrzebują obcego rozjemcy, by między nimi pokój i ład zaprowadził. Obliczano, że ta godzina już wybiła; panem lub rozjemcą — zapragnęły być Stany Zjednoczone. Kraj pokryty zgliszczami i trupami, na przestrzeni setek mil wszystkie linje kolejowe i budynki stacyjne zrujnowane, zbrojne, krwią ociekające bandy przebiegają kraj, wzajem polując na siebie — czyż nie można było wnioskować, że zbrojna okupacja przyjęta będzie jako dobrodziejstwo przez wszystkich głodnych, zmęczonych, spokój miłujących, spragnionych normalnego snu i spokojnego trawienia. Toć i w Meksyku tacy być muszą, i tam może istnieją żywioły, stawiające dobrobyt i korzystne interesa ponad polityczne tryumfy. Przecież i Meksyk chyba rozumie, że każdy naród ma taki honor, na jaki go stać, a gdy się jest doszczętnie obdartym i wygłodzonym, należy schować do kieszeni wygórowane ambicje.

Wszystkie te rachuby zawiodły. Meksyk pod względem honoru narodowego chce żyć nad stan. Meksykańczyk może wszystko do koszuli

sprzedać na kupienie obcej broni i rozwalać nią czaszki rodzonych braci, może walczyć nago i głodno, ale nie zniesie, by stopa obca deptała jego ziemię.

Skoro tylko wojsko amyrykańskie wylądowało w Vera Cruz, znienawidzony, zwalczany, ścigany Huerta został bohaterem narodowym, a wszystkie amerykańskie karabiny w rękach rewolucjonistów skierowały się w głowy i piersi Amerykanów.

Pojednanie dokonywa się w tempie błyskawicznym lecz wcale nieprzewidywanym przez sąsiadów z północy. Stali się oni rozjemcami i pacyfikatorami, ale ich to może bardzo drogo kosztować.

My, co tak bezustannie roimy o solidarności, jednomyślności w narodzie, my, co tak skwapliwie a raczej tak płochliwie w każdej różnicy mniemań i dążeń upatrujemy niebezpieczeństwo wewnętrznego rozdarcia i zewnętrznego bezwładu— uczmy się, że jednomyślność nie jest koniecznym warunkiem solidarności, ani też partyjne antagonizmy czynnikiem niemocy. U nas stronnicze zapasy rozpylają się w mgle i kurzawie słów, a—niestety—i solidarność narodowa tak samo. Wprawdzie pierwsze nigdy nie prowadzą do rozpłatywania czaszek — ale i druga do podania rąk ponad przepaścią nie skłania.

III. Bismark radził Polakom jeździć do Monako; wiadomo, że ta przyjacielska rada trafiła do przekonania lekkomyślnym naszym ziomkom, którzy wykonywali ją gorliwie i ściśle.

Z biegiem czasu, wobec postępów demokratyzacji życia polskiego, pomyślano o tem, by rozkosze ruletki udostępnić szerokim rzeszom. Nie wszyscy mogą przecież jeździć do Monako; dla tych więc postanowiono urządzić dom gry — w Krynicy, oczywiście z pomocą kapitałów i przedsiębiorców francuskich, bo i tu nawet, mimo wyjątkowo intratnej lokaty, zabrakło swojskiej gotówki.

Właściciele Krynicy przypuszczali może w prostocie ducha, że czynią wielki krok na drodze postępu. Nie brak przecież u nas móżdżków ptasich, upatrujących objawy kultury europejskiej wyłącznie w jej stajenno-kabaretowo-krupierskich ekskrementach. Drgnęły więc zapewne serca radością i dumą po licznych polskich zaściankach na wieść, że niebawem będzie mógł Polak spłókać się w *trente-et-quarante* we własnej... Krynicy. Tego nawet Bismark nie przewidział...

Byłoby dobrze, żeby poważna opinja społeczna w Galicji, a i w całej Polsce, zdusiła w zarodku te bezmyślne próby kultywowania «swojskiego» hazardu; dotąd byliśmy łatwym łupem obcych zdobywców; strzeżmy się, by nie zostać dla nich — pośmiewiskiem.

ST. ROMANOWSKI.

Z literatury politycznej.

II.

W. FELDMAN: Dzieje polskiej myśli politycznej.

Autor, na początku, tymi słowy pracę swą zaleca: «Pomyślana pierwotnie w czasie zeszłorocznych (1912) walk o orjentację polityczną jako broszura aktualna i w tym oni początkowo traktowana, rzecz obecna w toku pracy rozrosła się do rozmiarów dwóch pokaźnych tomów».

Książka tedy narodziła się pod znakiem przewidywanej wojny między Austrją a Rosją. Tom obecny (I) obejmuje okres dziejowy od roku 1794 do 1863: czyli łańcuch usiłowań politycznych narodu polskiego od pierwszego powstania do powstania ostatniego. Tom następny (II) dosnuwający wątek «dziejowy» aż do dni dzisiejszych ma się ukazać niebawem.

Już to przyznać trzeba: pan Feldman umie wybrać temat!... Jego tematy posiadają temperaturę ognia. Rzekłbyś: dobywa swe tematy z krateru wulkanów. Jego książki płyną zawsze z prądem lawy uczuć narodowych. Z prądem tej mniejszości, która chowa w sobie zaród rychłego podboju większości. Wilhelm Feldman umie być — ponadto — człowiekiem współczesnym. Współczesność stała się jego specjalnością. Możnaby rzec o nim, iż co sekunda umiera, aby się co sekunda rodzić. Myśl jego stale już od lat dwudziestu miewa smak i świeżość ostatniej sekundy. Dopóki żył Stanisław Wyspiański, Feldman był współcześnikiem Stanisława Wyspiańskiego, i nie chciał być niczym więcej. Ale gdy umarł Wyspiański, Feldman dowiódł, że dzieła wielkiego poety nie służyły mu za środek obcowania z wiecznością; one służyły mu, jako węzeł z dniem bieżącym. To też, gdy Wyspiański umarł, Feldman żyć nie przestał: nawiązał tylko inny łącznik ze współczesnością. Przed tym łącznikiem takim była poezja i literatura. Później stała się łącznikiem — polityka.

Wielkim, bezcennym atutem Feldmana jest to, że zawsze uchwyci on trafny moment do zabrania głosu w pewnej sprawie: wie kiedy ma powiedzieć; niestety, tego tylko nie wie, co?...

Gdy się nad głowami Polaków zarysowało widmo zbrojnego starcia między Wschodem a Zachodem Europy, starcia na ziemiach polskich, przy udziale sił polskich, kosztem

krwi polskiej, pan Feldman w lot zrozumiał, że... o tym trzeba napisać artykuł, i że artykuł taki może być straszliwie aktualny. Artykuł ów został napisany, i — liczyć będzie koło tysiąca stron druku. Ten bowiem olbrzymi tom, który wyszedł obecnie, mimo kilkuset stronic, jakie w sobie zawiera, nie przestał być... artykułem publicystycznym. Drugiej połowy jeszcze nie znamy, lecz jeśli będzie ona harmonizować z pierwszą, to całość nie będzie odpowiadać... swej nazwie.

Autor nazwał książkę swą «Dziejami polskiej myśli politycznej». W tak wyrażanym nagłówku tkwią dwa błędy. Naprzód nie są to *dzieje*; powtóre zaś nie są to dzieje *myśli*: Właściwy tytuł, zgodny z treścią książki, brzmiećby powinien: «Wypisy z polskiej literatury politycznej XIX stulecia» (zupełnieniem ostatniego dziesięciolecia wieku XVIII i pierwszego dziesięciolecia w. XX.)

Książka nie zawiera w sobie *dziejów* dlatego, iż poprzestaje na ułożeniu obok siebie, niejako rozpostarciu na jednej płaszczyźnie, próbek literatury politycznej w Polsce: nie daje procesu rozwojowego, tylko wylicza słupy graniczne tego procesu. Daje nie łańcuch przyczynowy zjawisk, ale kanwę, na której wyhaftowany jest szereg niespodzianek.

Pan Feldman ustawił pisarzy politycznych w porządku chronologicznym. Przy każdym kładzie jego dzieło. Z tych dzieł wybiera celniejsze, według siebie, ustępy, i każe je autorom odczytywać. Praca więc pana Feldmana jest poprostu kopcem usypanym z cytat. *Historyzm* pracy polega na *chronologiczności* układu owych cytat. Gdyby je ułożyć w porządku alfabetycznym, wartość książki pozostałaby ta sama: łatwiej natomiast byłoby się rozeznać w nagromadzonym obficie materjale. To, co w książce pana Feldmana nie jest cytatą, nie posiada prawie żadnej wartości; jest klejem literackim, który z pożytkiem mógłby być usunięty. W załączeniu i uzupełnieniu cytat, autor poczuwa się do obowiązku informowania czytelnika o wrażeniach, jakie pisma polityczne poszczególnych myślicieli bądź działaczy politycznych wywierały na środowisko swego czasu: jest to nałóg, zawleczony przez pana Feldmana na teren polityczny z terenu literackiego. Dzieła polityczne autor traktuje tak, jak dzieła literackie. Przykłada do nich miarę wrażenia.

Poprzestając zaś wyłącznie na rejestrowaniu utworów piśmienniczych, pan Feldman pomija milczeniem zupełnym całą sferę myśli politycznej, nieobleczonej w formę rzeczy literackich. Dlatego to rzekliśmy, iż nie *myśl* polityczną w książce swej ujmuje, ale literaturę polityczną. Dwa te zjawiska nie pokrywają się wzajem ze sobą. Nie cały obszar *myślenia* politycznego znajduje ujście w książkach, czasopismach bądź broszurach, których pan Feldman pilnym stał się wyskubywaczem. Myśl wyraża się także w *czynie;* myśl żyje także w *dążeniu;* myśl wybuchn także w *walce.* Słowem, dzieje myśli czerpać należy nie tylko z książek, ale także z przebiegu życia samego.

Ale cóż pan Feldman powiedzieć mógłby o życiu, coby nie było życia tego śmieszną karykaturą? Na pierwszej zaraz stronie, mówiąc o bohaterstwie polskim, taki popełnia zgrzyt komizmu w zaintonowanym przez się hymnie uroczystym: «Lat blisko dwadzieścia żołnierz (w legjonach) roznosił sławę i siłę życiową Polski po Europie, a w latach dwudziestych wieku XIX, gdy widział dzieło swoje zagrożonym, znowu się przemienił w spiskowca, *znowu zapragnął krwią swoją spoić rozdzieloną całość.*» W zdaniu ostatnim (podkreślonym przez nas), pan Feldman dał klasyczną miarę niedorośnięcia swego do wszelkiej wzmianki o epopei polskiego rycerstwa. Nie rozumie on, i nikt tego wytłomaczyć mu nie zdoła, ile nieprzyzwoitości w zdaniu tym się zawiera. Ile nizkiej, chełpliwej bufonady autor przypisuje tym, których pragnie uczcić. Nigdy, żaden najżarliwszy patrjota Polak nie *pragnął krwią swoją spajać rozdzielonej całości.* Bo cóż to znaczy: «Ja pragnę krwią swoją zdobyć to lub owo»? To znaczy: «Pragnę zdobyć to lub owo i, aby okazać jak bardzo pragnę, z góry wymieniam cenę, którą za zdobycz ową gotówką zapłacę». Otóż błąd pana Feldmana, błąd nieprzyzwoitości, polega na tym, że występuje on z pojęciem ceny tam, gdzie żadnego nie było targu. Że chcąc ludzi wywyższyć, przypisuje im uczucia, które ich pomniejszają. Jeżeli ludzie, o których pan Feldman wspomina, istotnie sławę i siłę życiową Polski po Europie roznosili, to, walcząc o tę sławę i siłę, nie mogli jednocześnie obliczać kosztów swego poświęcenia, ani z góry stawić szranków swemu bohaterstwu (do pierwszej krwi?...). Walka o byt ojczyzny nie jest pojedynkiem, w którym zapaśnicy zmagają się... do pierwszej rany, ani też handlem, w którym zwycięstwo, jak towar do nabycia, ma swą oznaczoną cenę. Dabrowski, kiedy szedł na bój, piechota polska pod Grochowem, kiedy szła na ogień armatni, podobnie jak później w lat kilkadziesiąt Garibaldi z tysiącem towarzyszów na zuchwałe ważący się dzieło, nie obliczali sobie, ile ich to będzie kosztować: zwyciężali krwią, ale «pragnęli» zwyciężyć wszystkim; jeśli trzeba więc — ofiarą krwi; jeśli trzeba — ofiarą życia; jeśli trzeba—ofiarą zbawienia duszy. I dlatego

właśnie, że gotowi byli na wszystko, że granic żadnych ofiarom swoim nie stawili, przeto nie mogli wymienić żadnej z nich. Pan Feldman jest papugą prometeicznego frazesu. Tyle nasłuchał się on i naczytał o prometeidach, którzy w obronie ojczyzny polegli śmiercią walecznych, iż wyobraża on sobie, że każdy z nich, ruszając w pole, oznajmia światu: «Teraz idę polec śmiercią walecznych». — «Teraz krwią swoją idę spajać rozdzieloną całość».

Zatrzymaliśmy się nieco dłużej nad jednym zdaniem, pierwszym z brzega, aby wykazać, jak szalony przedział istnieje między kwalifikacjami tego pisarza a tematem, który podjął w swej książce. Pan Feldman umiał wybrać temat. Ale, niestety, temat nie umiał wybrać dla siebie autora.

A tendencja książki? Jej kierunek? Jej idea?

Jeżeli ideą ma być dusza książki, to takiej idei niema. Książka jest bezduszna. Jeśli jednak za ideę przewodnią uznamy pewną nić jednolitą, na którą fakty nanizane zostały mechanicznie jak naszyjnik z korali, to wypadnie ideę księżki stwierdzić w postaci jednej z wielu «orjentacji politycznych», jakie zrodziły się na schyłku niespokojnej jesieni 1912 roku. Była to jesień głębokiego w narodzie polskim przełomu. Dokonało się w świadomości narodowej zasadnicze odwrócenie ośrodków ciążenia. Gdy na schyłku stulecia Polacy skłonni byli widzieć w upadku Rzeczypospolitej tylko krzywdę Europy i w jej odbudowaniu tylko liczyli na miecz i dyplomację Europy; gdy potym, poznawszy ból utraty, ofiarowali usługi swoje Europie i sprzęgając sprawę swoją ze sprawą obcych dworów i monarchów, wielekroć stawali się narzędziem cudzych ambicji, ofiarą cudzych przedsięwzięć, środkiem ku dopięciu cudzych celów; gdy zawiedli się na wszystkim i na wszystkich do koła siebie; gdy wrogowie okazują się bezwzględni, a przyjaciele chcą się dzielić z nami naszą ostatnią skibą ziemi, wówczas zrozumiano w Polsce, że tylko sami na siebie liczyć możemy; że byt własny, jako narodu, za cel najwyższy stawiać, wszystko inne za środki, celowi temu podporządkowane, uważać musimy. Nam nikt nie dopomoże, to pewna. Atoli państwa piętrzące się wokół nas, mogą nawzajem wyrządzać sobie krzywdy; szkody naszych nieprzyjaciół mogą pośrednio więc stać się naszymi korzyściami. To już nie będzie oddawanie sił polskich w cudzą usługę: zwolna dojrzewa w Polsce myśl wyzyskania sił i konjunktur obcych dla celów polskich.

Tę myśl elementarną czyni pan Feldman założeniem i «orjentacją» swej pracy. Myśl tę zaczerpnął on z toku chwili; stamtąd, skąd bierze wszelkie idee i hasła: z gwaru dnia. Myśl ta jednakże jest tak słuszna, tak z głębi bolesnych przeżyć narodu wydarta, tak w stuletnim ogniu zmężniała i zahartowana, tak przeciw młotom probierczym odporna i tak nad dniem dzisiejszym całą powagą stulecia górująca, że dzięki niej książka Wilhelma Feldmana poszczycić się może zaletą, jakiej żadne inne dzieło jego nie posiada: jest nieszkodliwa, być może, nawet — pożyteczna.

ROMAN ZRĘBOWICZ.

Józef Chełmoński.

Był Chełmoński homo faber na rozłogach poezji przyrody polskiej, tej naszej pramatki wzruszeń.

Był synem ziemi, jak Kasprowicz.

Był także, jak każdy z nas, Adamitą dźwigającym na swych barkach zewłoki, pełne krwawych zabiegów, gorzkich błędów i zawodnych snów...

Musiał być zapewne i szermierzem szarej, codziennej mądrości, gdy mu sakwy jęły dolegać, gdy zwątpienie mrokiem go okoliło, gdy marzenie, miasto w radości, opuściło go na bezdrożach.

Czymkolwiek jednak był, w jakimkolwiek kręgu uciekającego życia się znajdował, był przedewszystkim poetą — poetą skazanym na ból i rozkosz swoich wzruszeń, zbieranych z przyrody polskiej niepokalanym skrzydłem prawdziwego natchnienia. Oparty przez całe życie o wezgłowie pejzażu polskiego wymarzył swoją sztukę, dał jej kształt tak szczery i prawdziwy, jak szczerym i prawdziwym jest fakt rosnącego dzewa, szumiącego łanu zbóż, tlejących ognisk pastuszych.

„Chełmoński — pisze Witkiewicz — nie tylko obserwował i badał naturę ze stanowiska malarskiego, w jej zewnętrznych przejawach barwy i formy, on żył pod jej wpływem i mocą, jak żyją pierwotne dusze związane mnóstwem subtelnych nici ze zjawiskami świata zewnętrznego“.

Pszczołą była dusza Chełmońskiego, zbierająca z kielicha polskiej przyrody całą słodycz jej słońca i zieleni, całą melancholję jej nieboskłonów wieczornych, całą beznadziejność jej jesiennej wichury — wogóle całe jej życie jawne, dostępne, jak i to, co tętni niedostrzegalnie w cieśniach wód źródlanych, w prężnym rozroście korzeni.

Tworzył więc Chełmoński swoją sztukę, jak buduje pszczoła bursztynowy plaster miodu,

nie pomna celu, ni założeń. Tworzył niemal biologicznym instynktem.

Spełniał tylko rozkazy swoich wzruszeń, których bogactwo kształtów prawie rozmiarom polskiej przyrody odpowiada.

Wzruszenie było dlań siatkówką, pendzlem i paletą, było wiarą i żywiołowym, nieuświadomionym, artystycznym na świat poglądem.

Gdzieś... kiedyś... na ścieżynie mazowieckiej równiny odkrył Chełmoński tajemnicę swej sztuki: *własnym wzruszeniom nie należy się sprzeciwiać* — niech płyną przez wszystkie zmysły najszerszym nurtem spotęgowanego uczucia, niech rzeźbią hermy ideałów, niech, budzą ufność do ludzi, drzew, zwierząt, niech na swych krosnach tkają jasny, pogodny ornament polską dłonią rzetelnego natchnienia, dobrej woli i bystrej obserwacji.

To jest realizm sztuki Chełmońskiego. A droższym jest on dla nas tym bardziej, że niezawodnie potwierdza sens naszej twórczości narodowej, istotne drogi naszych wzruszeń, zasadnicze naszej rasy zdolności.

Niewątpliwie, po Mickiewiczu — Dygasiński w literaturze, a Chełmoński w malarstwie ten realizm poezji naszych wzruszeń najpełniej i najdobitniej wyrazili. Ileż wspólnych cech posiada styl i rytm ich twórczości — jak tą samą niemal metodą umieją wnikać w przyrodę, wyrażać porę dnia, jej barwę i perspektywę, jej krzepki liryzm i jej symfonję zmian. Gdzie wierny kształt nie może oddać jej prawdy — tam ją antropomorfizują — tam w życie organiczne przyrody wkłada ją słowo i uczucie człowieka. „Kuropatwy w śniegu“ Chełmońskiego i „Walka o łup„ w „Godach życia“ Dygasińskiego może najlepiej powyższe związki ich realizmu ilustrują.

Fatalizm przyrody, nieuniknione konieczności życia organicznego — któż może lepiej wyrazić, jeśli nie to wzruszenie głębokiej, ludzkiej poezji, która na drgającej wąsami wardze górnej osaczonego zajączka, lub na zgiętej szyjce głodnej, zmarzniętej kuropatwy — zdoła odtworzyć cierpiące oblicze człowieka? Jest w tym spojrzenie serca w głąb ziemi aż do jej fatalistycznego żywiołu, co stworzył życie z morza okrucieństw i oceanu miłości.

Chełmoński i Dygasiński będą mieli samotną kartę w dziejach naszej twórczości. Będzie ona żyć sobą i dla siebie. Będzie ona jakimś „kresowym Mohortem,“ wpatrzonym w gasnące słońce czuwania nad polskim realizmem, nad jego bezpośredniością i jego czystym, rzetelnym wzruszeniem. Będzie potomnym opowiadać, że nie był polskim impresjonizm, ani symbolizm, ani prerafaelityzm, kubizm, futuryzm i t. d., ale na wskroś polskim, naszym, był realizm Chełmońskiego i Dygasińskiego.

J. PAPINI.

Rady Hamleta.

Z CYKLU: «TRAGEDJE CODZIENNE».

Pewnego wieczoru bezgwiezdnego, gdym wzdłuż rzeki szedł w pogoni za jakimś snem dziwacznym, książę Hamlet, który oddawna zaszczyca mnie swą przyjaźnią, stanął pobok mnie i rzekł:

— Przyjacielu, ciebie zaczyna gryźć choroba. Nikt jeszcze nie miał przyjemności oświadczenia ci tego, lecz ja ci to oświadczyć muszę. Nie dotykaj czoła, nie blednij! Aczkolwiek spędziłem swe najlepsze lata w smutnej Wittemberdze, nie jestem doktorem. Mimo to czuję zdaleka zapach owych chorób strasznych, których nie znają zupełnie medycy o pełnych zadumy brodach. Cierpienie twoje ma źródło w duszy, przyjacielu, i tylko w duszy. I ja ongi byłem także chory, bardzo chory, i trzeba było szpady dobrze wyostrzonej i leku dobrze gorzkiego, aby się ze wszystkiego wykurować. Teraz, od kilku stuleci, czuję się doskonale na zdrowiu, i dlatego być może szukam rozrywki w troskaniu się o zdrowie innych. Dzisiejszego wieczoru zatroskałem się o ciebie. Lecz się: powtarzam ci, że jesteś poważnie, głęboko, niebezpiecznie chory.

To rzekłszy, umilkł i dalej szedł obok mnie. Spojrzałem nań—jakże stał się wątły ten zacny książę Hamlet!—i spytałem:

— A czy nie możesz mi powiedzieć, książę, jaka jest moja choroba, abym się od niej mógł uwolnić?

Hamlet zwrócił się ku mnie z uśmiechem. Poczym ująwszy mnie za ramię dłonią — jakże zimna i lekka była ta jego dłoń—powiódł mnie pod latarnię. I, gdy znaleźliśmy się w czerwonawym kręgu, stanął przedemną w pełnym świetle, pogrążył wzrok w me oczy i rzekł cicho: Patrz! *podobnyś jest do mnie.*

I od tej chwili nie widziałem już więcej twarzy księcia Hamleta.

***

Nie widziałem już ciebie nigdy, o dobry książę, ale tyle razy w owe wieczory, pełne żaru zmysłowego i zapachu sianożęci, rozmyślałem o twych ostatnich słowach! Szukałem choroby, w której jestem do ciebie podobny, smutny książę, i zda mi się, że ją znalazłem, tę chorobę groźną, której bałeś się wymienić nawet imienia. Nie szpada i nie trucizna, ale ona to zabiła ciebie, zagadkowy Hamlecie, i ona to, choroba owa, czyni nas braćmi w te samotne wieczory,

w które mnie odwiedzasz i mówisz mi głosem tajemnym rzeczy dziwne i pełne wdzięku, których nie słyszał ani Horacy, ani Polonjusz.

I chorobą tą, o Hamlecie, ową straszną chorobą, czyż nie jest *myśl*, czyliż nie jest nią *rozmyślanie nad sobą?* Zali nie jesteś ty posępnym bohaterem owego zastępu ludzi, którzy myślą o tym, coby chcieli i coby powinni zrobić, zamiast robić? Zali nie należysz do tych duchów znużonych i omdlałych, które wolą słowa, będące rodzaju nijakiego, niż czyny, dzwoniące męzkością?

A choroba ta, o książę Duński, nie w mojej tylko duszy jady swe rozplenia. Nie ja jeden, w czasie obecnym i na ziemi obecnej, jestem podobien tobie: iluż jest podobnych tobie wokół mnie! Powstało poprostu pokolenie Hamletów, którym nie ukazało się jeszcze żadne widziadło, ale którzy noszą w duszy, tak jak ty, niewidoczną a zabójczą truciznę myśli, która wszystko przegryza, i woli, która wiecznie się chwieje. We mnie, tak samo jak w nich i jak w tobie, blada zjawa myśli wypija krew z bogatej tkani życia.

Lecz ciebie uleczyła śmierć. A my chcemy żyć, wiesz? Chcemy żyć z piersią choćby rozdartą, żyć choćby bez władzy w mięśniach. A przecież chcemy ruszać w dalekie pochody, mknąć na dalekie wyprawy, — chcemy żyć życiem, które nie wlecze się, ale biegnie, tańczy, buja na skrzydłach.

Nie widziałem cię już więcej, dobry książę, ą jednak wierzę, że to ty mówisz dzisiaj w mym sercu, że to ty mówisz przez moje usta. Nie chciałbym przecież na to przysięgać. Podobnie, jak ty wahasz się między niespokojnością, a ironją, tak samo ja nie umiem orzec czy to moja dusza mówi w tobie, czy też twój duch mówi przezemnie. Ale oto są słowa, które, napewno, ty musiałeś wyrzec:

— Naprzód, przyjaciele, dalej naprzód! Śmiało. Czy dość mordercze są wasze żelaza, czy dość ostre są wasze narzędzia? Nie lękajcie się o każdą odrobinę krwi, nie drżyjcie przy każdym nowym jęku duszy. Bez trwogi, przyjaciele, bez nadmiaru czułości! Pracujcie dalej, zagłębiajcie ostrza, sięgajcie w głąb, głębiej, jeszcze głębiej, aż do rdzenia, aż do samego dna. Nie zostawiajcie żadnego włókna w mroku: niech żadna rozpadlina nie pozostanie nietknięta, żadna szczelina — niezbadana! Roztrząsajcie wszystko do wnętrza, obnażajcie wszystkie rany, każdy nerw bierzcie pod światło, docierajcie aż do twardych kości. Baczcie, aby nie cofać się nawet przed kośćmi! Wewnątrz kości także krąży życie, płynie krew, znajduje się miazga i szpik. Nie miejcie litości, przyjaciele, żadnej, żadnej, żadnej litości. Całą duszę waszą rozdzierajcie na sztuki i prześwietlajcie promieniami. Choćby miała zeschnąć, choćby się miała zapalić, nie zważajcie. Musicie samych siebie wystawiać na pokaz, kawałami, przed oczy ludzkie. Bądźcie, przyjaciele, chirurgami dusz swoich, bądźcie sępami i drapieżnikami swych dusz!

Jak ów bohater Terencjusza, niechaj każdy dręczy sam siebie bez ustanku; jako Bóg sam siebie oddał na ofiarę, tak niechaj każdy sam siebie ofiaruje na pokarm dla innych. Niechaj dowiedzą się wszyscy, w mieście, w kraju i poza krajem, że obecnie zbieramy się w kościele, by współzawodniczyć z Chrystusem, albo, że marzyliśmy o przygodach i podróżach okrężnych i fantastycznych. Niechaj świat się dowie, że wczoraj przechadzaliśmy się z Apolinem, i że dziś udajemy się do Weimaru, że jesteśmy starzy i że jesteśmy młodzi, że niedawno temu porzuciliśmy Nietzschego w pół drogi, i że jutro, być może, porzucimy księcia poetę. Obwołujmy, spowiadajmy samych siebie! Czyż nie to właśnie jest znamieniem naszej wyższości? Czyż nie to jest aureolą naszej wielkości?

Więc bierzmy na się ów ciężar, nie ustawajmy ani na chwilę w czynieniu rachunków swych i rozrachunków. Codzień ważmy się na wadze ducha, próbujmy pulsu co godzina, co tydzień ogłaszajmy biuletyny o swym zdrowiu i o swych doległościach!

A przedewszystkim twórzmy zamysły, przyjaciele. Twórzmy dużo wielkich, ciągłych zamysłów. Czyż zamysł nie jest narkotykiem, nie jest haszyszem życia? Czyż nie jest surogatem i zadatkiem rzeczywistości? Najmiłościwsze, najłaskawsze Bóstwo, jakże cię kochałem i pieściłem i kołysałem na swym sercu! Któż opieje twą chwałę, kto napisze dla cię apologję na konkurs, z komentarzem i skorowidzem? Któż pokocha cię tak, jako ja cię kochałem?

Podwójnie czynisz ludzi szczęśliwymi, o Bóstwo! Naprzód dajesz im pretekst do bezczynności w oczekiwaniu wyboru, potym zaś pozwalasz im rozkoszować się w chwili teraźniejszej tym, co się zamyśla na przyszłość. Jesteś wiec, o! zamyśle, podwójną i świętą ścieżą odpocznienia, podwójną drabiną wstępu ku doskonałemu wczasowi.

Mnóżmy więc zamysły, przyjaciele! Niech życie nasze składa się z planów i zamiarów. Niechaj śmierć nie napotka w nas nic prócz obietnic, niech życie będzie dla nas tylko oczekiwaniem w bezkońce. Lecz co mówię? Wszystko to, o co was błagam, czynicie sami, czyniliście zawsze. Owszem—wyznajcie to—nie czyniliście nigdy nic innego. Alboż to nie jesteśmy teraz tymi, którzy najwięcej zużywają fantazji? Czyż nie stoimy nad brzegiem życia jako wieczni oblubieńcy rzeczywistości i sławy?

Słyszymy, jak dokoła nas huczy życie, gdyby morze huczące śród śpiewu syren i ryku zarzynanych bydląt. Ale stoimy jeszcze tutaj, na krawędzi brzegu; stopy nasze lgną w podatnym piasku; jeszcześmy nie przekroczyli pierwszej fali. Nie wszyscy nawet zebraliśmy się na wybrzeżu. Wielu z nas siedzi jeszcze w domu; siedzą zamknięci w swych starych domach, między ogniskiem rodzinnym a mistyczną celą. Widzę ich, — te stare dzieci: mają mapy wielkie przed sobą i znaczą palcami drogi, i wzrokiem śledzą granice. A na wierzchu każdej mapy widnieje napis: *Świat*.

Co wieczór, gdy z gwiazd na czoła nasze zstępuje zaduma, gdy ludzie wracają z robót, i mają czas ua to, aby rozmyślać o tym, co robili i co robić będą, gdy ulicami przetaczają się śpiewy i głosy tych, którzy nie mogą znaleźć zapomnienia, my zasiadamy wówczas nad naszymi mapami i kreślimy drżącą cokolwiek ręką naszą podróż życia.

Któż wypowie straszną tęsknotę owych godzin poszukiwania? Straszną trwogę przepaści i moczarów! Wszystko znaczone jest w tych mapach zapomocą znaków lekkich i różnobarwnych. Tu oto, z jednej strony, leży kraj Tkliwości, malowany zorzą i błękitem, pełen gajów rozśpiewanych, pełen strumieni srebrnych, w których złote igrają rybki. Ale jest także kraj Zgrozy, ciemny od lasów, rdzawy od krwi, najeżony górami, nie mający ani rzek, ani jezior, suchy i okrutny jak serce człowieka, który umarł z gniewu. A obok, dziwnym przypadkiem, rozpościera się kraj Snu, lotnymi nakryty mgłami, pełen fantasmagorji, pełen puszcz, zakwitających pod tchnieniem Fata-Morgany, pełen przepaści, ponad które nagle przerzucają się mosty pod stopami pielgrzymów. Poza nim, dalej ciągnie się kraj Zarobku, ze swym tłustym gruntem i stajniami natłoczonymi. Kraj Boskości z grotami dla pustelników i harmonjami bazylik; kraj Słowa, wreszcie, pełen zgiełku—krzyków—i odoru wyziewów.

Te wszystkie krainy — i wiele jeszcze innych — oglądamy na mapie świata, wieczorem, w znajomym światłokręgu lampy. I patrzymy na drogi, wiodące ku skarbom, wiodące ku zachwytom; na drogi, które prowadzą nas nad kołyskę niemowlęcia, albo nas rzucają na bezgranicze oceanu, które przepadają w odmętach szaleństwa lub potęgi, wiodą w mogiłę lub na tron. Wszystkie je widzimy i po wszystkich podróżujemy, wodząc po mapie zwolna gorączkowymi palcami. Godziny mijają ciężkie i posępne, mijają mężczyźni z hałasem, mijają kobiety ze śmiechem, a my wciąż krążymy po koliskach dróg, wypatrujemy najkrótsze połączenia, odgadujemy ukryte ścieżki, i ciału swemu, ciału. które czeka, wskazujemy albo ucieczkę doskonałą, albo podbój niezliczonych ziem. Tymczasem czas uchodzi, milczący okrutnik. Słyszymy go za drzwiami, jak stąpa cicho, niby hufce bosych demonów. Każdy dzień jest demonem, każda godzina jest demonem, każda minuta jest demonem, drodzy przyjaciele! Nikt tego nie spostrzega? Nikt o tym głośno nie mówi? Czyż więc muszę przypominać z przerażeniem, że każdy dzień, każda godzina, każda minuta pochłania naszą młodość? pochłania naszą siłę, pochłania naszą wieczność? Mamże przerażać was umieraniem czasu, umieraniem życia, zgonami, po których nie będzie zmartwychwstania? Czyż raz jeszcze mam wam powtarzać, z przestrachem i zgryzotą, że krótki posiadamy wątek do wysnucia, niewiele powietrza do oddechu, niewiele ust do całowanła, niewiele chwil dla twórczości?

Nigdy nie myślicie o tym? Nie czujecie za sobą tego ciągłego popędzania przez siłę, nieznającą spoczynku? I nigdy-ż nie chwyta was pogarda, gdy tak krajecie na sztuki swą duszę, gdy wywieszacie za oknem strzępy swego serca, nigdy nie chwyta was pogarda i wstręt dla samych siebie? Nigdy nie budzi się w was gwałtowny poryw ku temu, aby wyjść z tej sali anatomicznej, aby oderwać się od map? Nie owłada wami ani na chwilę dzika chęć ukrycia swoich wnętrzności i podarcia swej malowanej mapy świata?

Uczyńcież to raz, nareszcie, przyjaciele! Powiedzcie: nie chcemy być dla innych widowiskiem. Alboż to jaki impresarjo boski nas wynajął? Alboż to znajdujemy się w budzie jarmarcznej, aby ustami wyrzucać kule złocone, ku uciesze gawiedzi? Czyż mamy życie przeżywać źdźbło po źdźble, kropla po kropli, mówić o tym, co robić będziemy, miast robić, wyznaczać lekkimi kreskami podróże, których nie przedsiębierzemy, wyobrażać na mapie podboje, których nie dokonamy, kreślić drogi rzeczywiste, których stopy nasze nie dotkną?

Jeden maleńki wysiłek, przyjaciele. Rzućmy w to szalone i burzliwe morze, które tak nas nęci, wszystkie mapy. Morze to—przezorne bóstwo, umiejące dochować tajemnicy: ono nas nie wyda. Nie wyrzuci na brzeg trupów naszych zamysłów. Skończmy raz opowiadać ciągłymi słowy o tym, kim jesteśmy, albo kim pragniemy być; przestańmy obiecywać sobie pod przysięgą wyprawy nocne i pochody—i ruszmy w drogę! Niechaj po raz ostatni nasze słowa będą tymi heroldami, którzy nie poprzedzają żadnego króla.

Skierujmy kroki na północ, albo-li na południe! Klasycy czy romantycy: mniejsza o to! W imię Chrystusa albo w imię Szatana: wszyst-

ko jedno! Wystąpmy jako ¡poeci albo djalektycy, władcy słowa czy magnaci woli: cokolwiek chcemy, cokolwiek możemy, cokolwiek potrafimy. Ale róbmy cobądź, na Boga, dajmy sobie samym, naszym towarzyszom, naszym wrogom, w dziele naszym dowód naszej potęgi zdobywczej i twórczej. Niech każdy pełni dzieło własne, wielkie albo małe, niech każdy zbiera własne plony bądź w ubogim owsie, bądź w złotej pszenicy.

Okręt stoi u brzega, w przystani, czarną smołą smarowny, z żaglami rozpiętymi na wietrze, z banderą w słońcu rozwiniętą. Kapitan, na przedzie, bada widnokrąg; bocman, schylony nad mapą oceanu, upatruje miejsc grożących rozbiciem. Wszelako okręt nie podnosi kotwicy; nie odbija od brzegów; portowy łańcuch trzyma go na uwięzi; okręt jeszcze nie odpływa.

U bramy miejskiej rycerz dosiada rumaka. Rumak rzędem podzwania, rycerz w dłoni dzierży łuk napięty, przy boku wisi mu ciemna szpada. Wszelako rumak nie rusza z miejsca; jeździec nie popuszcza cugli, szpady nie dobywa z pochwy.

Stoisz, człowiecze, na progu życia; błyszczą oczy twe, widzące daleko, szumi krew w twym sercu, które pragnie i lęka się zarazem z siłą jednakową; płonie oddech w twej piersi pożądliwej, jak pierś ciskającego się na ziemię zwierza.

Ale oto po godzinie oczekiwania następuje godzina zniecierpliwienia. Okręt kołysze się i łamie w zwierciadle wód, aż do jęku wyprężając liny, które go trzymają u brzega,—koń rwie ziemię kopytem i drży, i głowę wyciąga przed siebie, ku łące pachnącej, ku polom rozkołysanym...

MIECZYSŁAW LIMANOWSKI.

Z teatru dla Teatru.

Trylogja Rydla od szeregu miesięcy zagważdża scenę Teatru Rozmaitości; unieruchomia ona całkowicie twórczość istotną, która z tej sceny promieniować powinna na Warszawę. Na skutek bezcharakterności swojej i tej sprzeczności, jaka zachodzi między przemyconą treścią na dnie a frazesami na wierzchu—„Złote Więzy" są czynnikiem deprawującym; chciałbym z kolei pokazać, jak *ten jad działa w samym teatrze,* jak fatalnie odbijać się musi na młodszych artystach pierwszej sceny polskiej, którym powierzono role protagonistyczne.

Zacznijmy od Osterwy. W roli Zygmunta Augusta niema linji ujawniającej jakikolwiek wewnętrzny ruch, zatem linji kolejnego pojawiania się coraz nowszych skupień duszy na drodze istotnego rozwoju, krórym jest zawsze tylko i jedynie rozwój od wewnątrz. Zygmunt August jest u Rydla na początku, w środku i przy końcu sztuki (zatem ciągle!) jedną i tą samą galaretowatą masą: w jego wnętrzu nie dzieje się nic. To że w ogrodzie grucha, krzyczy, że przy łożu umierającego ojca cierpi (i kłamie!!), że potem dobywa na sejmie wielkie słowa, przy koronacji awanturuje się, a przy łożu Barbary obciera łzy... to wszystko nie dobywa się na zewnątrz jako widomy znak czegoś, co się w nim samym dzieje, wszystko to nie jest emanacją na drodze wewnętrznego, izjatycznego oczyszczania, katarsis greckiej, która prowadzi bohatera naprzód. Rydel pobrał z historji rozmaite obrazy, najczęściej nawet nie bezpośrednio, tylko przez pryzmat już gotowej Sztuki, to jest malarstwa historycznego (Matejko, Simler) i te obrazy czy malarskie zestawienia montuje jako stacje dla swego kalwaryjskiego śpiewania. Osterwa dał się wziąć na lep zewnętrznych świecidełek i bawidełek; wybrał on barwną powierzchnię, zatem zewnętrzną epidermę dzieła jako fundament (postawił zatem do góry nogami istotny problem aktorski) i znalazł się w ten sposób w świecie ruchów majestatycznych, królewskich czy reprezentatywnych, którym brakuje dna żywego człowieka, owo źródło, z którego zatem owe gesty królewskie i reprezentatywne wypływać muszą. Inaczej, Osterwa znalazł się w świecie sztucznym, zawieszonym w powietrzu, zabójczym, skoro nie jest zakorzeniony w ziemi; aby pogodzić świat, w który wtargnął, z bezpłodnością i pospolitością istotnej akcji dramatycznej, tającej się na dnie utworu, uczynił on zbrodnię: dobył ze siebie sfingowany głos — baryton mocno podejrzany, którym manierowo operował, więcej niż rażąco. *Grać nie swoim głosem* jest absolutnem samobójstwem dla aktora wielkiego repertuaru: głos bowiem własny, to tyle co gest własny; głos obcy, to tyle co gest przybrany, zatem przyswojony i podpatrzony, a więc nie twórczy. Gest i głos nie mogą iść w rozdźwięku: tem zaś *co prowadzi jest tylko głos* — na niem się opierać, to opierać się na szczerości swej wewnętrznej. Na sztucznym głosie żeruje Osterwa co wieczór przez pięć aktów (czy to nie potworne!) ślizga się po jakiejś powierzchni, starając się nie zejść na dół... to jest w siebie, rozpaczliwie podnosi głowę, aby nie odsłonić pod sobą pospolitości fundamentu akcji, której jest ofiarą. Taki to taniec na linie wykonywać musi Zygmunt August na scenie Teatru Rozmaitości, aby utrzymać się na piedestale... Za tę mękę, jeśli ją uświadamia (prawdziwy artysta nie może w sobie takiej męki nie uświadamiać!) niech podziękuje Osterwa Rydlowi i Dyrekcji, która mu podobną sztukę dała za platformę artystycznych wzlotów.

Przejdźmy do Szyllinżanki. W pierwszym akcie jest ona dla oka wrażliwego na Piękno niedozniesienia, z powodu swej sztywności i aplastyki. Stoi na scenie w błękitnej sukni (dlaczego nie żałobnej?) w rękawiczkach trupiego koloru (czy w Teatrze Rozmaitości nie ma jakiego malarza?) i wyrzuca z ust potok słów, pozbawiony gestów współsonansowych. Mimowoli skręca się widz w krzesłach: domaga się gestu, łaknie gestu. *Szylliżanka nie podkreśla słów gestykulacją,* wyrzuca ona słowa w powietrze ze szczerością jakąś rozbrajającą, przechodzi nawet więcej niż rażąco w ton deklamacyjny. Twierdzę, że panna Janina Szylling podświadomie wyczuła, jak i Osterwa, zasadniczy fałsz u podstaw sztuki granej: nie mogąc grać całością syntetyczną, przechyliła się, jak i Oster-

wa, na jedną z obu dwójłomnych stron, tylko nie jak Osterwa na zewnętrzny, przez historję asocjacyjnie podparty plan, ale na stronę słów, które uznała za dominantę. Nie mogąc wyprowadzić, na podstawie słów mówionych, gestów ze siebie, dała spokój wszelkim gestom. Wielka artystka jest *zbyt szczerą* i *prostolinijną*, aby mogła się była przechylić na stronę mimiki skomplikowanej komedjantki, jaką jest Barbara Rydla. Tego Szyllinżanka nie mogła żadną miarą uczynić: jest zbyt młoda i samej myśli takiej byłaby się była przestraszyła. Wybrała zatem słowa, deklamację, a gesty pozostawiła w powijakach. Kierowała się delikatnością ogromną wobec Barbary historycznej, wolała tę Barbarę grać artystycznym dysonansem, niż Barbarze imputować nieszczere momenty. Tak jest na początku sztuki, w scenie ogrodu; przy końcu, gdy słowa tekstu są zgodne z dnem dramatycznem, gdy śmierć zbliża się jako ekspiacyjne wyzwolenie i przez to pozwala na ujawnienie jednolitości wewnętrznego życia, wtedy Szyllinżanka staje się odrazu wielką aktorką, gra ona umierającą Barbarę w pełnej skali dziwnie czystych akordów, z akompanjamentem jakichś przedelikatnych odcieni, które może mieć tylko kobieta bezwzględnie szczera. Należy się pokłon Szyllinżance za to, że gra tak źle na początku sztuki... gra ta świadczy o tem, że artystka jest niezmanierowana, że posiada przed sobą daleką drogę, wielkie wzloty w przyszłości. Woli grać niepełno, niż nadłamywać się w sztuczydłach, a przez to podcinać samobójczo swój talent. Tak robią zawsze natury silne i twórcze.

Osterwa kosztem swego głosu, wybierając zewnętrzny stafaż historyczny; Szylliżanka kosztem gestów, wybierając szczerość sonorycznych słów (jako kobieta wyczuwając intuicyjnie, że grzechy przeciw głosowi są bardziej zabójcze) starają się ratować sztukę od płaskości i meskinerji filisterskiej. Oboje artyści stanęli jednak nad przepaścią... Dyrekcja Teatru Rozmaitości czyni krzywdę tym artystom i to krzywdę *mogącą nieodwołalnie zaciążyć nad rozwojem ich talentów*, każąc grać bezwartościowe sztuki. Żaden artysta nie wyprowadzi z dzieła bezsensownego, sprzecznego w sobie samym twórczych kreacji: rzeczy takie mogą się tylko dziać na tle prawdziwej Sztuki. Dla rozwoju talentów jest potrzebna wielka Sztuka.

Czy p. Solski, który doskonale zdaje sobie sprawę z artystycznych wartości „Złotych Więzów", nie zawahał się w sumieniu swoim ani na chwilę, pozwalając na tak niebezpieczny eksperyment, jakim jest oddanie roli Zygmunta Augusta Osterwie, zaś roli Barbary Szylliżance? Czy nie wie on, że Osterwa posiada hyperskłonność do zewnętrznej reprezentatywności, niezakorzeniającej się w prawdzie wewnętrznej i że Szylliżanka musi pracować i jeszcze raz pracować nad tem, aby głos swój nauczyła się opierać na gestykulacji intuicyjnie wydobywanej ze siebie samej? Na czem że można się wewnętrznie pogłębiać i na czem można wyprowadzać ze siebie mimikę twórczą, jeśli nie na tle Prawdy, która jest tylko w prawdziwej Sztuce?

Grać w Rydlu mógł tylko jeden Kotarbiński. Nie można się było nadziwić dostatecznie, z jaką precyzją wydobywał w „Królewskim Jedynaku" ze starego króla mazgajowatość w sosie dobroduszności oraz tupet pracujący przemycanymi akcentami. Pan Kotarbiński był szczery, grał więcej niż dobrze, przeszedł nawet siebie. Czy jednak dla tej jedynej roli (tak interpretowanej!) warto było truciznę rydlowską zawiesić na całe tygodnie do funkcjonowania... oto jest pytanie, które warto postawić rozgłośnie?

JAN LEMAŃSKI.

Gnoti Seauton.

Alii bella gerunt, tu Austria felix — nube!

Inni walczą, a ty odprawiaj, szczęsna Austrjo — wesele!

(Do wesela przygrywa narodowy austrjacki wirtuoz — Offenbach).

5.

Historja — nauczycielka życia — mówią.

Oto przed nami historja Austro-Węgier. Uczmy się.

Rozległe dzisiejsze państwo austrjackie, liczące 625 przeszło tysięcy kilometrów kwadratowych z 50 miljonami ludności, poczęło się z niewielkiego szmatka ziemi nad rzeką Anisą (Enns), nazwanego Marchją Wschodnią (Ostmark, Ostarrichi lub Ostirrichi) pod pierwszym margrabią Leopoldem I Babenbergiem (976—994).

Nauka: góra, choćby największa, zaczyna się od drobnej pecyny.

W roku 1105 Leopold III, zwany Świętym (1096—1136) zdradził swego suwerena, cesarza Henryka IV, za który czyn otrzymał od Henryka V rękę jego siostry Agnieszki, posażnej wdowy po herzogu Szwabskim.

Nauka: można być zdrajcą i zostać następnie świętym (austrjackim) *(weil er seinen Treubruch durch ein würdiges Fürstenleben sühnte)*.

W roku 1192 herzog Leopold V (1177—94) podczas trzeciej wyprawy krzyżowej, od Ryszarda Lwie Serce obrażony, z wojny świętej chrześcijańskiej wycofał się i tegoż Ryszarda, gdy przez jego powracał Austrję do domu, koło Wiednia pojmał i uwięził, a gdy za sprawą trubadura wiernego więzienie to odkryto, następnie go Herykowi VI-mu Okrutnemu, cesarzowi Niemieckiemu wydał. Zwano go *Cnotliwym*.

Nauka: można bronić grobu Chrystusowego i jednocześnie wroga swego w zaufaniu przez nasz kraj przejeżdżającego uwięzić, i mimo to być cnotliwym. Przynajmniej w Austrji.

Leopold VI, Sławny (1198—1230). Był przyjacielem poezji i popierał minnezyngerów. Za jego czasów Austrja kwitła bardzo.

Ztąd płynie nauka, że kult dla poezji i poetów zbiega się ze stanem kraju kwitnącym. Nic dziwnego, że Polska jest krajem biednym, ponieważ ma tylko trzech poetów uznanych (chociaż, mówiąc nawiasem, niezbyt znanych), Kiedy Polska kwitła, poetów było znacznie więcej. Czyżby poezja miała coś wspólnego z kwiatem narodu? Może. Bo dla czegoż narody chwalą się nie tem, ile mają, dajmy na to, funtów sterlingów, franków, marek czy rubli, tylko tem, ilu poetów liczą, artystów, filozofów, wynalazców, uczonych wreszcie? Ameryka opłaca dzieła sztuki miljonami.

Po Leopoldzie VI Sławnym nie było protektorów poezji i sztuki. Poezja i austrjackość stają się coraz bardziej tonami dyssonansującemi. Nie wyprowadzajmy jednak ztąd nauki, że dni Austrji są policzone. *Spiritus flat ubi vult (et quando vult).*

Od roku 1282 zaczyna się w Austrji ultra zaborcza, ambitna dynastja Habsburgów. Jeden z nich, Leopold III, w r. 1386 został pobity i zabity nawet przez Szwajcarów pod Sempach, gdzie Arnold Winkelried wbił sobie w pierś włócznie austrjackie i zrobił tem w szeregach ich wyłom.

Nauka: zaborczość najchciwsza nic nie poradzi tam, gdzie natrafia na miłość ojczyzny, jak u tych Szwajcarów, taką, jak u Winkelrieda.

Że Habsburgowie byli ambitni, przekonywa nas sen jednego z nich, słabego Fryderyka III (1440—93), któremu przyśniło się pięć liter: A. E. I. O. U., a które miały oznaczać: *Austriae Erit Imperium Orbis Universi,* albo: *Alles Erdreich ist Oosterreich unterthan,* czyli że cała ziemia ma należeć do Austrji.

Nauka. Takie sny nie zawsze się sprawdzają. Potomność wytłumaczyła ten sen inaczej, mianowicie: Austrjacki Egoizm I Obżarstwo Udławiło ją, bo nie mogąc strawić Węgier, z Austrji stała się Austro-Węgrami. Węgry jej zaszkodziły. Polska Galicja daleko strawniejsza. Połączona z nią Austrja nie stała się Austrjo-Polską.

Za Maksymiljana I (1493—1519) Austrja znacznie się rozdęła przez małżeństwo jego z posagiem burgunckim (Marja), a jego syna, Filipa I, z posagiem hiszpańskim (Joanna Kastylska, z której Karol V).

Nauka: *Alii bella gerunt, tu Austria, felix — nube.*

Od czasu Ferdynanda I (brata Karola V) nie działo się dobrze. Austrja nie mogła mówić wówczas, że jest *felix.* Turcję trzeba było podarunkami ugłaskiwać; Reformacja wzbudzała katolicki niepokój; chłopi się zbuntowali i w r. 1525 wojsko pobili; za Matyasa — wybuch wojny trzydziestoletniej (1618); Tilly i Wallenstein; Gustaw Adolf pod Wiedniem; Tököly sprowadza Kara Mustafę pod toż szczęśliwe nieszczęsne miasto.

Nauka: w nieszczęściu pamiętaj, że fortuna zmienną jest. Jakoż nastał rok 1683. Fortuna przebrała się za Polaka z wąsem pokrętnym, ze staturą lwią a z duszą gołębia, i dalejże ratować Wiedeń i chrześcijaństwo Ale, żeby ambitnemu Leopoldowi nie była zbyt przykra ta interwencja Polski, delikatna Fortuna tak urządziła, że zwycięstwo nad Turkami poszło na karb wojsk cesarskich, a Sobieski tylko był *auch mit dabei. O, tu Austria, felix!*

Po tem wyciągnięciu Austrji z błota klęsk, nastał szereg jej powodzeń. Na wojnie o spadek hiszpański (1701—14) zarobiła sporo: Niderlandy, Medjolan, Mantuę, Neapol i Sardynję, którą w r. 1720 wymieniła na Sycylję. Turków nawet pobiła już sama (książę Eugenjusz 1716)... Wprawdzie znów potem linja szczęśliwości austrjackiej cokolwiek się wykrzywia: kończą się Habsburgowie; ostatni, Karol VI, kosztem znacznych ustępstw zapewnia dziedzictwo Austrji swojej córce Marji Teresie (sankcja pragmatyczna). Marja Teresa (1740—1780) na wojnie Siedmioletniej traci sporo posiadłości, mianowicie Szlązk. Ale od czegoż pomoc dobrodusznej Polski, którą właśnie w r. 1772 po raz pierwszy wypadło rozebrać. Znowu ratuje. Austrja odkrajała od niej kawał królewskiego płaszcza Galicji i Lodomerji. I znowu Polska podratowała chrześcijaństwo.

Nauka. A temu który się chce z tobą prawem rozpierać, a suknię twoją wziąć, puść mu i płaszcz. A ktoby cię kolwiek przymuszał na tysiąc kroków, idź z nim drugie dwa... Miłujcie nieprzyjacioły wasze; dobrze czyńcie tym, którzy was mają w nienawiści. Albowiem jeśli miłujecie te co was miłują, cóż za zapłatę mieć będziecie? azaż i celnicy tego nie czynią?... Tak mówi chrześcijaństwo ustami Ś. Mateusza (r. V, 40—46).

Gdy Polska oddawała, miłując je, nieprzyjaciołom swoim płaszcz, Austrja chrześcijańska płaszcz swój z kawałków siedmiu, różnym narodom zabranych, zszywała autokratycznie.

Rządził Józef II (1780—90).

Prenumerata PRAWDY wraz z bezpłatnym dodatkiem w Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odn. do domu. Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50, rocznie rb. 10. Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Redaktor przyjmuje interesantów w poniedziałki, wtorki i soboty od 1-ej do 2-ej. Rękopisów nie odsyła się.

Administracja otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt, od godz. 10 do 5 pp.

Ogłoszenia po kop. 20 za wiersz garmontowy jednoszpaltowy (strona zawiera 4 szpalty).

OTYŁOŚĆ I JEJ LECZENIE

Cechą charakterystyczną otyłości stanowi nadmierne nagromadzenie się w tkankach tłuszczu, który utrudnia działalność narządów, i stanowi źródło ustawicznych udręczeń w życiu codziennym chorego i staje się powodem ciągłego niepokoju o zdrowie.

Spostrzeżenie przekonywa, że kobiety częściej podlegają otyłości, aniżeli mężczyźni, a to dzięki większej skłonności płci pięknej do tego cierpienia z powodu pewnych właściwości ustroju kobiecego.

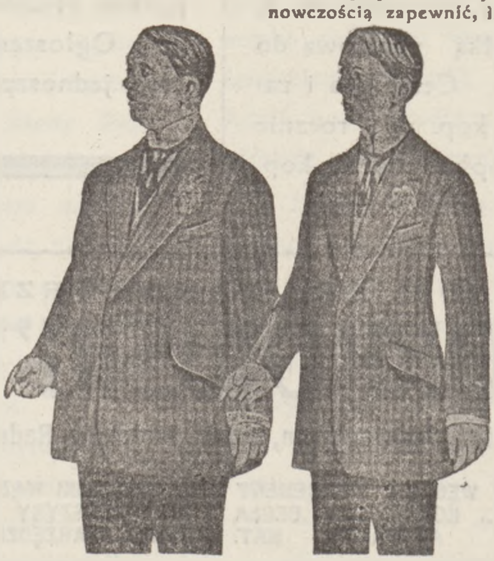
Z drugiej zaś strony, otyłość nie stanowi rzadkości i wśród dzieci, u których to cierpienie dochodzi niekiedy do znacznego stopnia rozwoju.

Leczenie otyłości dało dowód doświadczeniu do stworzenia całej masy bezzasadnych i wprost naiwnych przepisów postępowania, które stały się bogatą kopalnią, skąd szczodrą ręką czerpała szarlatanerja wszelkiego rodzaju. To też przy wyborze środków w omawianym wypadku należy być wielce ostrożnym.

Niezmiernie ważną jest rzeczą aby leczenie otyłości było stosowane stopniowo i w sposób łagodny: strata 5 do 7 funtów na miesiąc, trwająca stale w ciągu określonego czasu w większości wypadków powinna być uważana za wystarczający wynik kuracji. Taki umiarkowany ubytek wagi jest zwykle znacznie trwalszy, aniżeli gwałtowny jej spadek. Dlatego też po kilkodniowym leczeniu należy przerwać kurację na 12 dni i dopiero po tej przerwie rozpocząć ją na nowo.

Z pośród wielu środków, stosowanych przeciwko otyłości, najgodniejszym polecenia jest jeden, działający pewnie i zupełnie nieszkodliwy dla ustroju, który będąc stosowanym przez lekarzy od 6 lat, dał im sposobność przekonania się o jego skuteczności: „JODYRINA" (IODHYRINE) odkryta przez D-ra Deschamp'a znanego lekarza francuskiego, jest właśnie tym lekiem, na który zwracamy uwagę.

JODYRINA wzmaga wydzielanie się żółci i przyspiesza przemianę materji i istotnie odmładza ustrój, przywracając chorym utraconą energję i żywość ruchów, stanowiący rażący kontrast z poprzednią chorobliwą ociężałością i ospałością. Chorzy czują się silniejszymi, posiadają więcej energji i stają się zdolniejszymi do większych i dłuższych wysiłków; chód ich przestaje być ociężałym, mniej się pocą, wyzbywają się senności, trawią lepiej, dzięki czemu sen ich nie pozostawia nic do życzenia.



Skutek 3 miesięcznej kuracji Jodyriną D-ra Deschamp'a.

Opierając się na sześcioletnim doświadczeniu najwybitniejszych lekarzy całego świata, możemy z całą stanowczością zapewnić, iż stosowanie Jodyriny przeciw otyłości stanowi jedyny i zupełnie racjonalny środek leczenia tego cierpienia, sposób który nie przedstawia żadnego niebezpieczeństwa dla ustroju, a który został zbadany dokładnie i oparty na wiedzy czysto naukowej.

Tysiące zaświadczeń, ustawicznie nadsyłanych na ręce D-ra Deschamp'a stanowi prawdziwie „złotą księgę" Jodyriny. Powyższe zaświadczenia mają tym większą wagę, że są nadsyłane z własnej inicjatywy chorych co też zniewala D-ra Deschamp'a do zachowania dyskrecji i do nieogłaszania ich bez bezpośredniej zgody osoby zainteresowanej.

JODYRINA D-ra Deschamp'a nietylko jest lekiem swoistym przeciwko otyłości, ale, będąc stosowana zapobiega temu cierpieniu u osób, dotkniętych artretyzmem, dną (podagrą, gośćcem, reumatyzmem), małokrwistością u kobiet, zbliżających się wiekiem do okresu przekwitania i t. p. słowem u wszystkich, którym w krótkim czasie grozi otyłość. We wszystkich tych przypadkach nie należy zwlekać z rozpoczęciem kuracji, gdyż każde opóźnienie często pociąga za sobą niepożądane skutki, nierzadko jest połączone nawet z niebezpieczeństwem dla samego ustroju.

EMIL GAUTIER

Sprawozdawca naukowy czasopisma paryskiego „Le Journal".

JODYRINA D-ra Deschamp'a znajduje się w sprzedaży we wszystkich aptekach, składach aptecznych po cenie Rb. 4.25 za pudełko zawierające 60 pastylek w opłatkach.

Przy pudełku dołączony jest szczegółowy opis ze sposobem użycia w języku polskim. Reprezentacja Główna na Rosję i Królestwo Polskie: Dom Handlowy Luxemburg i S-ka, Żórawia 40, w Warszawie.

Redaktor: Wincenty Rzymowski. Wydawca: Józef Jabłoński.

Druk L. Bogusławskiego, Warszawa, S-tokrzyska 11.